Rocznik I. Kraków 15-go marca 1908. Nr. 6.

NASZA SKARBNICA

wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia 15-go.

Prenumerata „NASZEJ SKARBNICY“ wynosi:
w AUSTRYI na rok 3 korony — na pół roku 1 kor. 50 hal. — Do NIEMIEC na rok 3 kor. 50 hal. — Do AMERYKI na rok 1 dolar.

ADRES do przesyłania prenumeraty:
Redakcya „NASZEJ SKARBNICY“ w Krakowie, ul. Wolska 28.

Od wydawnictwa.

(Ważne zawiadomienie).

W naszym kraju przyzwyczajeni są Czytelnicy do prenumerowania czasopism od Nowego Roku. Wiadomo zaś, że *Nasza Skarbnica* zaczęła wychodzić w październiku roku zeszłego, ztąd różne powstają myłki w rachunkach.

Ten pierwszy rocznik *Naszej Skarbnicy* miał się kończyć we wrześniu bież. roku, a nowy rozpoczynać znowu od października. Aby tedy uniknąć w przyszłości różnych pomyłek, **kończymy** tym numerem rocznik pierwszy *Naszej Skarbnicy*, i od kwietnia rozpoczynamy **rocznik drugi**, który obejmie trzy kwartały, to jest do końca bież. roku, a potem, da Bóg doczekać, w roku przyszłym rozpoczniemy nowy rocznik od Nowego Roku, i już będzie wszystko według zwyczaju naszego kraju. Ponieważ ten pierwszy rocznik, teraz zakończony — obejmuje jedno półrocze — więc liczymy za niego **1** koronę **50** halerzy. Kto tedy zapłacił **3** korony — ma u nas na drugi rocznik jeszcze **1** koronę **50** halerzy. Ale ten drugi rocznik obejmie nie pół roku, lecz trzy kwartały, bo od kwietnia do końca bież. roku, więc ci, którzy zapłacili 3 korony, raczą dopłacić jeszcze **75** halerzy, i będą mieć zapłacony cały drugi rocznik.

Drobna to kwota: 75 halerzy, — ale prosimy o jak najrychlejsze jej nadesłanie, bo dla nas i to coś znaczy, gdy wszyscy ją nadeślą.

Dla **nowych** zaś Czytelników, którzy jeszcze nie trzymali dotąd *Naszej Skarbnicy*, a chcieliby to pismo teraz sobie zapisać — wynosi prenumerata od kwietnia do końca bież. roku: **2** korony **25** halerzy!

Starosta Wilczek.

Powieść z czasów Zygmunta III., przez *B*.

(Dokończenie).

XII.

Ocknęła się z grobowego snu zimy przyroda. Na rozjaśnione niebo wystąpiło jaskrawe, dogrzewające słonko. I już stopniałe śniegi w tysiącznych zdrojach z gór szemrzą i mruczą w doliny, a góry i doliny w zielone postroiły się wieńce, by powitać krasną córę poważnego roku, różnobarwną wiosnę.

O jakżeż czarowną dziś znowu natura! Zazula*) zakukała w krzewach, drozd zagwizdał w bukach, w łąkach derkacz zaskrzypiał i huknął donośnie bąk długoszyi. Jaskółki w powietrzu świegocą, rozganiając roje drobnych muszek, i z obfitym żerem dla małych wracają ćwierkając pod strzechy.

I w ludziach jakaś tajemna, niepojęta odżyła radość, bo dziwny jest związek człowieka z przyrodą. Swobodne ich śpiewy zapełniają pola, lasy, doliny. W ziołach wesoła wrzawa: starce z wypogodzoną jagodą gwarzą sobie rozkosznie o dawnych czasach przed domami, a młódź, pokrzykując ochoczo, zawija się koło zatrudnień, porze roku właściwych.

Tylko w duszy Podwojewodzicowej nic się nie zmieniło; smutek i boleść dogryza jak wprzódy. Wyszła jednak z dziećmi ponad krasne wybrzeża Strypy. Któżby dziś w tej wynędzniałej twarzy, tem zapadłem oku, odgadł wyraz owego czarownego oblicza pięknej Starościny?... Rzewnie przemawiają do duszy niewiasty te śpiewy ptaków, żegnających

*) Tak zowią na Podolu i Wołyniu kukułkę.

różane słońce, co im za góry ucieka. Tysiąc wspomnień odżyło w jej duszy, ale niestety! smutnych tylko. Cała jej młodość przepłynęła wpośród tych cudów przyrodzenia, ale ona nie zakosztowała z kielicha ich słodyczy. Nękana troskami, ciągłą boleścią, nie zaznała nawet spokoju. Ta myśl sięgała głębiej, w najczarniejszą przeszłość, w owe dni okropnego rozstania się z Tomaszem, i rzewne łzy zrosiły wywiędłe jagody.

Wacławek, dziś już trzynaście lat liczący, towarzyszy wraz z małą swoją siostrzyczką matce, patrzy na łzy jej, ale nie cieszy jak dawniej. Czemu? Bogu to jedynie wiadomo. Uważano tylko, że chłopczyna od powtórnego matki zamęścia zsmutniał; starsi powiadają, zwyczajnie jak dziecko. Chłopczyk spojrzał ku drodze od lasu wiodącej do zamku, i nagle przerwał milczenie.

— Matko, jakiś pielgrzym zmierza tu ku nam; zaczekajmy, niech się przybliży.

Stanęli, nadszedł starzec w długiej, czarnej szacie, przepasany białemi sznury. W prawicy trzymał długą laskę z rozlicznemi znaki, na lewej zawieszon był kosz z relikwiami, szkaplerzami i rozmaitymi obrazkami, a na posiwiałej już głowie spoczywał szeroki kapelusz. Twarz wędrowca świętego w ziemię spuszczona; pochwalił z pokorą Pana Boga, a na wezwanie Podwojewodzicowej: »ojcze! prosimy z sobą do zamku; strudzone członki wasze potrzebują wypoczynku; znajdziecie go u nas« — jeszcze niżej schylił czoło, i tylko głębokim podziękował ukłonem. Podwojewodzicowa, wziąwszy za ręce małą Helenkę, idzie naprzód, za niemi sędziwy pielgrzym.

Pani smętnie pogląda przed siebie, czasami zagaduje starca stłumionym głosem, dzieci się nań obracają z wyrazem podziwu. Ale on snać nie chce się spotykać z wzrokiem niewiniątek, bo źrenice głęboko wtopił w ziemię. Jednak gdy nikt go nie śledzi, widać, że dusza walczy z obliczem, któreby pragnęło pozorem obojętności pokryć, co się wewnątrz niej dzieje. Przemogła wreszcie wyższa cząstka człowieka, i na twarzy świętego wędrowca wypiętnował się dziwny wyraz boleści, pomieszania. Ciągle zwraca oko na swoją przewodniczkę i z skrytem westchnieniem spuszcza łzą zabiegłe. Któż wie, jakie krwawe z lat przeszłych wspo-

mnienia przywołał ten widok rodzinnego szczęścia pamięci starca? Może i on był ojcem, mężem! Bogu tylko wiadomo.

Przybyli do zamku. Pielgrzym wszedł za panią. Jakieś bolesne zadziwienie wymalowało się na jego twarzy. Czyby on miał znać ten zamek dawniej, że go tak uderzyły zmiany w nim zaszłe od lat kilku? Jakiś głos ozwał się w głębi komnat: »Zosinku, najdroższa żono!« Wędrowiec zadrżał, pobladł; ale nikt tego nie dostrzegł.

XIII.

Już to drugi dzień, jak pielgrzym bawi cudownemi powiastkami o Ziemi świętej, o dalekich swych podróżach, dziatwę Podwojewodzicowej; ona się doń przywiązała jak do ojca; wszędzie za nim chodzi, cieszy się obrazkami, któremi ją obdarował, a ciągle prosi starca, żeby jej tylko więcej opowiadał. Nikt nie wie, skąd jest ten starzec; a przecież go wszyscy tak polubili, bo on tak słodki, tak uprzejmy dla wszystkich.

Tylko Podwojewodzicowa unika jego spojrzenia. Na pierwszym zaraz wstępie do zamku źrenice starca przypadkiem zbiegły się z wzrokiem niewiasty, i tak dziwnym i groźnym uderzyły jej duszę blaskiem, że odtąd nie śmie spotykać się z tem obliczem, którego straszny wyraz nawet we snach ją ściga i jakiemś tajnem, okropnem dręczy przeczuciem. A przecież toż samo oblicze tak mile wszystkich ku sobie pociąga, a przecież tenże sam pielgrzym tak słodko dziękuje swej pani za gościnne w dom przyjęcie.

Pod wieczór zebrała się w rozległej zamku komnacie cała rodzina, prócz Podwojewodzica, który na dni kilkanaście wyjechał do stolicy. Pani z drobną robótką zasiadła na sofie, karmazynowym adamaszkiem wykładanej; przy niej dwie panny nadworne, także stósowną zajęte pracą, a na boku ode drzwi święty wędrowiec. Dzieci natychmiast otoczyły swego starca.

— Mój ojcze kochany — błagał go Wacławek — powiedz nam jeszcze jaką powiastkę; ty tak mile opowiadasz, mybyśmy całe życie słuchać cię chcieli.

Na te słowa pielgrzym spuścił oczy w ziemię i tak mówił:

»Oj dziwnież to, dziwnie, moje dziatki kochane! Bóg na tym świecie rzeczy rozrządza, ludzi doświadcza, chłoszcze i cieszy wytrwałych w nieszczęściu. Był też tam ze mną w dalekich owych ziemiach jeden z waszej ojczyzny, który tego jawnym wam będzie dowodem.

»Jakie było imię tego człowieka, skąd rodem? tego wam, moje dziatki, nie powiem, bo chociaż żyłem z nim jako brat z bratem, chociaż nic między nami tajnego nie było, o to jednak sam go po kilkakroć daremnie pytałem. Przecież gdym raz nalegał, żeby przyjacielowi, towarzyszowi trudów, więcej coś odkrył z dziwnych, jak się zdawało, swych losów, dał się nakłonić i rzekł:

»Siadaj bracie, czego możesz, wszystkiego dziś dowiesz się odemnie. Spoczęliśmy zatem obaj, pamiętam, jakby to dzisiaj się stało, pod cienistem drzewem świętej Ziemi, którąśmy właśnie wspólnie nawiedzali; on zaczął:

»Nie omyliłeś się bracie, mniemając, że dziwne to być muszą koleje, przez które mnie przeprowadzać Bogu się podobało. Blizny, które widzisz na czole, ręce i piersi mojej, oznajmią ci, że niezawsze wędrowcza odzież pokrywała to ciało. Ale słuchaj od początku:

»Nie pomnę, ile lat temu; byłem w kwiecie wieku, opływałem w szczęście, w dostatki, we wszystko zgoła, czego człowiek na tym świecie tylko zapragnąć może, kiedy gruchła wieść po kraju, że Turek najechał ziemię naszą i ogniem i mieczem pustoszy świątynie i grody. Jakby gromem rażeni rwą się na ten rozgłos straszliwy i starzy i młodzi. Nie chciałem się dać innym wyprzedzić w posłudze dla mojej kochanej matki ojczyzny. Młody, zapalony, przywdziewam co żywo zbroję, przypasuję oręż, siadam na koń, rzucam zagrodę, dostatki, ciche szczęście i ruszam do obozu, ufny, że Bóg, za którego przeczystą wiarę chwyciliśmy za szable, dozwoli to wszystko wkrótce w zdrowiu odzyskać. Ale Pan Przedwieczny inną mi przyszłość gotował, może, by doświadczyć hartu duszy swego sługi!«

»Słuchaj! Po kilku szczęśliwie odbytych walkach, nastąpiła pierwsza wielka i stanowcza potrzeba z Bissurmanem, w pobliżu Chocima. Rozzuchwalony dawniejszem powodzeniem, rzuciłem się, skoro znak do boju dano, na tłumy dziczy. Tnę, walczę, rąbię, co mi się pod kord nawinie,

gdy wtem nagle widzę się zewsząd otoczonym przez wroga. Śmierć grozi niechybna. Postanowiłem z chwałą poledz. Przyzwawszy więc cały ogień młodości do dłoni, rzucam się jak wściekły na ściskające mnie roty, lecz w środku najzaciętszej bitwy nagle mi w oczach pociemniało, uczułem ból okropny pod sercem, i bez zmysłów zwaliłem się z konia. Co się tam dalej ze mną działo, nie wiem; odzyskawszy przytomność, ujrzałem się w ręku bissurmanów, zewsząd dzikiemi otoczony strażami. Gdym odzyskał siły, okuto mnie w kajdany, pędzono za sobą. Na krańcach naszej ziemi zapadłem w ciężką niemoc; pewny byłem, że już ostatnia wybiła dla mnie godzina, nawet...«

Tu zamilkł... łza mu spłynęła po licach, westchnął głęboko, jakby żałował jakiego może zbyt porywczego kroku, i po długiem milczeniu tak mi znów dalej opowiadał:

»Po dniach kilkunastu wróciło zdrowie, ale straciłem ojczyznę. W cztery miesiące potem jakżeż daleko, daleko byłem od niej! Pędził skutego w żelaza wróg okrutny prawie bez wytchnienia, przez wsie, miasta, puszcze odludne, aż nareszcie przerzucił za morze, gdzieś tam w ową część swojej ziemi, kędy słońce siarczystem tchnieniem zabija płody, a pali i czerni ciało ludzi. Myślałem, że przecież tutaj będzie kres nędznemu życiu; prawie wszyscy nieszczęśni towarzysze moi, nie wytrzymawszy zmiany nieba, pomarli. Jam został, tak się Bogu podobało. Jednak nigdy, o nigdy bracie! nie byłbym nawet zamarzył wtedy, że jeszcze być może na ziemi jaka okropniejsza niedola nad tę, po której żyłem. A przecież ona była rajem szczęścia w porównaniu do tego, co mi Bóg teraz przeznaczał.

»Na krańcach owego tam świata było małe miasteczko. W południowej jego części wznosiło się coś nakształt obronnego zamku, była to pono siedziba muzułmańskiego rządcy. Z górnych jej części sypał groźny pan łaski i nagrody, lub ciskał wyroki śmierci; w dolnych, pod ziemią, jęczały ofiary jego srogości. Do tego lochu, ach! na samo wspomnienie krew w żyłach stygnie, do tego lochu wrzucono mnie teraz.

»O! najkrwawsze katownie tyrana są niczem w porównaniu z tą męczarnią człowieka, którego oczom zamknąć się kazano przed światłością nieba, a duszy rozstać

z najdroższym jej skarbem, z wolnością! Zdziczała myśl moja, padłem bez zmysłów, gryząc przegniłą pod sobą ziemię z rozpaczy; zerwałem się potem, biegałem jak szalony po okropnej jaskini, szukając narzędzia, którembym ukrócił te piekielne męki. Ale wśród grobowej ciemności, wśród duszących mnie zewsząd zatrutych par i wyziewów, nie znajdywałem nic, prócz kilku zbutwiałych szkieletów, szczątków zapewne takich jak ja ofiar! Nie było już wtenczas łez w mojem oku, tylko rozpacz wściekła pożerała mi serce; rzuciłem się powtórnie na moje zgniłe, krwią zbrodniarzy przesiąkłe posłanie; siły mnie nagle odbiegły; myślałem, że się wszystko skończyło!...

»Lecz nie był to, bracie, sen wieczny, ów nigdy nie przespany! Jam się przebudził przecież już spokojniejszy. Wróciła przytomność, zacząłem rozpamiętywać nad sobą; myśl samobójstwa w całej swej okropności przywiodła duszy sumienie, zadrżałem. Klęknąłem, wznoszę gorące modły skruchy do Boga, o którego łasce zwątpiłem w chwilowem obłąkaniu... uderzyłem się w piersi, łzy mi się strumieniem rzuciły z oczu, i lżej było na sercu. Ofiarowałem wszystkie me cierpienia Wszechmocnemu, błagając tylko, żeby mi w łasce swojej zakończyć je dozwolił. O gdzieżbym to był pomyślał wtedy, że ta okropna pieczara, w której za dni kilka oczekiwałem śmierci, będzie świadkiem tyloletnich łez i westchnień moich! a przecież tak było.

»Płynęły, płynęły leniwo, jak całe wieki, godziny me okropne, bez nadziei, bez pociechy, bez łez nawet, bo i te się wreszcie wypłakały. Wszystko zamarło we mnie, prócz tej jednej iskry nieśmiertelnej, która ożywiała to wynędzniałe ciało. Aż tam raz kiedyś, gdym leżał słaby, zadumany, zacząłem, odzyskawszy tak dawno utraconą pamięć, przebiegać myślą moją przeszłość.

I przypominam sobie, że gdym w pochodzie Turków z naszego kraju upadał już na duszy, przybiegł do mnie jakiś janczar i pokrzepiał nieszczęśliwego, każąc być dobrej myśli, nie rozpaczać! Zdaje mi się nawet, że tegoż samego człowieka widziałem przy sobie, gdy mnie powalono z konia na placu boju... i jakiś promyk nadziei przesunął się przez moją duszę, westchnąłem: Boże, skryte są twoje wyroki! Cóż, gdy zaraz po nim przyszła zimna rozwaga, co i ten

cień chwilowej rozkoszy odjęła sercu! Pomyślałem: zapewne to była jaka poczciwa dusza, co chciała nieść pomoc nędzarzowi; ale to tyle lat temu. Bóg wie, gdzie on dzisiaj?... może dawno zgnił gdzie na polu za swoją litość!... Wtem w głębi mojej pieczary zabłysło drobne światełko i zaraz zgasło... coś upadło na ziemię, była to dzienna moja strawa, którą wrzucano nieszczęśliwemu! Nowe męki ścisnęły mi serce, a zraniona tkliwem wspomnieniem dusza zaczęła boleć okropniej. Ale i ten ciężar wypłakał się wreszcie, stałem się znowu tym obojętnym głazem, co dawniej.

»Aż ci tam raz po wielu nocach bezsennych zdało mi się, że słyszę skrzyp podwoi mego więzienia po tyle lat zawartych. Wytężyłem ucho, jakieś ciche nóg stąpanie zbliża się ku mnie. Przeżegnałem się i zadrżałem po raz pierwszy przed śmiercią, której tak długo wyglądałem. Bo ginąć zabitym podstępnie, wzdryga się serce, którego nie ustraszyły miliony mieczów na polach bitew; a rozumiałem, że napastnik mego pokoju był moim mordercą.

»Wtem głos się ozwał: »Lachu! jeżeli żyjesz, odpowiedz; ja ci wolność przynoszę!« Nie uwierzyłem, milczę jeszcze, gdy jakaś dłoń schwyciła za moją i powtórnie tenże sam głos zabrzmiał: »Nie lękaj się! przed tobą ten, który wydarł twe życie mieczom wroga na placu boju; ten, który cię krzepił, gdyś rozpaczał w pochodzie w kajdanach; przed tobą Mustafa, któregoś ty, niegdyś udarowanego życiem na twojej ziemi, wrócił jego rodzinie! Dziś on przychodzi wypłacić ci dług zaciągniony. Przywdziewaj co prędzej te szaty, pod ich i nocy, która teraz panuje, zasłoną, ujdziesz pogoni, bo wiedz, że jutro miałeś zginąć. Han już wydał wyrok twojej śmierci! W czas przybyłem jeszcze cię zbawić, ale nie pytaj, jakem tu przedarł się do ciebie, czemu tak długo cierpieć ci kazałem. Tak było w przeznaczeniu twojem!«

»I schwyciwszy mnie silniej za rękę, wiódł szybko jakiemiś ciemnemi lochy. Gdyśmy byli w bezpieczeństwie, daleko za miastem, rzuciłem mu się do szyi, zlewając łzami wdzięczności śniade oblicze barbarzyńcy; on sam był wzruszony, lecz naglił znowu: Uchodź, patrz! noc już na schyłku, wiesz, co cię miało spotkać! pamiętaj tylko i w dalekich twoich krajach, że i w muzułmańskich piersiach biją wdzięczne serca!« — i znikł z moich oczu.

»Bracie, usta moje nie zdolne wypowiedzieć tego, co się teraz we mnie działo, gdym po tylu latach odetchnął znowu tem powietrzem swobody, które już nigdy dla mnie wiać nie miało; gdym ujrzał to niebo, to słońce, z któremim się na wieki pożegnał! Jak dziecię nowonarodzone patrzałem na świat, jak dziecię dziwiłem się jego cudom! Z jakąż chciwością chłonął wzrok mój to wszystko, co go otaczało; słuch i serce te dźwięczne śpiewy wolnych ptaszyn, tak dawno nie zasłyszane. Cóż dopiero, gdym pomyślał, że może wkrótce uderzy o moje ucho dźwięk ojczystej dumki, że powitam braci, rodaków!...

»Przywalony szczęścia nawałą, upadłem na kolana, począłem dziękować Bogu za jego cudowną opiekę nademną i ślubowałem mu wtedy, że nie prędzej wrócę do ojczyzny, aż zwiedzę ziemię, w której Syn Jego jedyny umarł za świat grzeszny. Dopełniłem już tej przysięgi, wspólnieśmy płakali za nasze winy nad grobem Zbawiciela. Ale jest jeszcze jedna, bracie! którą związany jestem; oby mi jej dotrzymać dał Bóg siły... bo okropny to ślub!... jam zostawił w domu żonę... dwoje dzieci!...«

Tu głos pielgrzyma zcichł nagle. Podniósł wzruszone oblicze, wszystkich oczy łzami zabiegły. Podwojewodzicowa struchlała.. drży cała. Wędrowcowi świętemu okropnie na sercu. Kiedy do żywego tknięty jego powieścią Wacławek rzuca mu się do szyi i woła z jękiem: »Starcze, to może nasz ojciec! powiedz, gdzie on się podział... o gdyby Bóg go nam wrócił!...« Więcej żal mówić nie dozwolił rozczulonej chłopczynie, łzy tylko rzęsiste tłumaczą jego uczucia.

Ale cóż to się stało z samym pielgrzymem. Łzy mu strugami toczą się z oczu, twarz dziką zawrzała boleścią; widać, że serce jego i dusza jakąś okropną staczają walkę. Chciałby opowiadać dalej, ale usta jego drżą i martwieją, drży cała postać wzruszonego starca. Wszyscy drętwieją na ten widok! Gdy wtem jakby wyrwane z więzów krępującej je rozważającej duszy wszystkie żary serca wybiegły krwawym strumieniem na lica świętego wędrowca, źrenice wyswobodzoną zajaśniały boleścią. W obłąkaniu przycisnął do piersi chłopczynę i małą obok stojącą Helenkę, i jęknął przeraźliwie: »Wierne dzieci moje! człowiek, którego dzieje wam opowiedziałem, stoi przed wami; nie omyliliście się,

jest to wasz prawy ojciec«; i rozdarł szatę pielgrzymią... Lecz w tejże samej chwili drugi jęk wydarł się z jego piersi: »O Boże! przebacz...« i śmiertelną pokryty bladością, pochylił się ku ziemi.

Przypada struchlała Podwojewodzicowa, poznaje ubiór wojacki Starosty, poznaje swój medalionik na jego piersi, poznaje Tomasza! Rzuca mu się do nóg z okropnym krzykiem: »Mężu najdroższy! odbierz życie grzesznicy, ale przebacz, przebacz! nieszczęśliwej twojej Zofii!...«

Te jęki rozpaczającej żony, wzruszyły konającego, podniósł się nieco, wzmógł i mdlejącym jeszcze rzekł głosem, kładąc śmiertelną dłoń na jej skronie: »Zofio! wszystko zapominam, oby i mnie Bóg tak odpuścił mój występek... trzy dni przysiągłem jeszcze byc pomiędzy wami niepoznany... złamałem święte śluby, muszę umierać!... błogosławię, błogosławię wam wszystkim, po raz ostatni!...« I z ostatnim tym dźwiękiem duch uleciał z ciała.

* * *

W dni kilka złożono w familijnym grobie zwłoki Starosty. W kilka tygodni później spoczęły obok nich prochy drogiej jego Zofii. A lud prosty gwarzył pomiędzy sobą, że od owej chwili mogiła starego Drozdowskiego, dotąd tylko dzikim porastająca chwastem, nagle się bujnie zazieleniła, i odtąd, chociaż mróz wszystko wokół powarzy, nigdy nie traci majowej swej krasy!

Rozpadlina w skale kalwaryjskiej.

Istnieje dotychczas znakomity ślad trzęsienia ziemi, które miało miejsce przy śmierci Zbawiciela: jest to rozpadlina w skale kalwaryjskiej. Bardzo biegli w naukach przyrodzonych podróżni zaręczają, że ze względu na żyły kamienne, skała ta nie mogła pęknąć w tem miejscu według praw natury, ale stało się to w sposób nadprzyrodzony.

Naoczny widok tej rozpadliny wystarczył do nawrócenia kilku niedowiarków. Między innymi Anglik pewien, bardzo dowcipny, podróżując po Palestynie, drwił sobie z tego wszystkiego, co mu księża katoliccy opowiadali o miejscach i relikwiach świętych.

Chcąc się pośmiać z wiary pobożnych, poszedł on oglądać rozpadliny skały, które pokazują na górze Kalwaryi, a które są następstwem trzęsienia ziemi, jakie miało miejsce przy śmierci Chrystusa Pana. Dzisiaj skała ta umieszczona jest w świątyni, zbudowanej przez cesarza Konstantyna. Kiedy zaczął z uwagą rozpatrywać się w jej otworach, rzekł do podróżującego z nim przyjaciela: »Zaczynam teraz być chrześcijaninem. Biegły jestem bardzo w fizyce i matematyce, a przeto mogę zaręczyć, że te pęknięcia skały nie są skutkiem zwykłego trzęsienia ziemi. Podobne wstrząśnienie mogło, co prawda, porozdzielać warstwy i pokłady, które się w tej skale znajdują; zauważyłem to już w innych skałach, które były pęknięte wskutek zwyczajnego trzęsienia ziemi. Tutaj rzecz się ma przeciwnie: skała jest rozłamana na poprzek; wyrwa krzyżuje żyły w sposób dziwny i nadprzyrodzony.

Widzę przeto jasno i oczywiście, że to jest prosty skutek cudu, że ani powietrze, ani natura nie mogły mieć w tem udziału. I dzięki składam Bogu — dodał — iż mnie tu przyprowadził, abym podziwiał działanie Wszechmocności Jego i był naocznym świadkiem zjawiska, które tak wielkie rzuca światło na Bóstwo Chrystusa«.

NAWRÓCENIE ŻOŁNIERZA.

W pięknej okolicy nad brzegiem Loary*), wśród wesołych pagórków i zielonych błoni, widnieją rozrzucone miasteczka i wspaniałe wille. Pomiędzy niemi Mantelon na wysokiej górze, otoczony wiankiem wysmukłych topoli, odbijał białością murów od ciemnego tła odległych lasów i borów. Tam to mieszkał Pan G..., były pułkownik, dzielny rycerz z czasów Napoleona I., mąż zacny, uprzejmy, szczery, wielkiej dobroci serca, bardzo przez wszystkich poważany.

Chociaż katolik, lecz urodzony w czasie tryumfującej bezbożności we Francyi, kiedy kościoły były zamknięte, a usta kapłanów milczały, mało był oświecony w religii, a nawet miał niektóre niekatolickie uprzedzenia, rozpo-

*) Rzeka we Francyi.

wszechnione przez bezbożną naukę ośmnastego wieku, jednakże przez wzgląd na pobożną rodzinę swoją mało się z tem wydawał.

Ponieważ był cichy i łagodnych obyczajów, przeto życie wiejskie wiele miało dla niego uroku. Lubił wdzięki przyrody, piękne kwiaty, cieniste lasy, polowanie i rybołówstwo; mimo to jednak widziano go nieraz smutnym i zamyślonym. Niepewność przyszłości poza grobem przerażała duszę jego, a nadto brakło mu dziatek na rozweselenie starych dni żywota. To też lubił się otaczać dziećmi swego brata i często sprowadzał do Mantelonu synowice i synowców swoich. Jeden z nich był księdzem i tego właśnie, pomimo jego sutanny i kapłańskiego powołania, stary pułkownik najwięcej kochał. To też młody kapłan nawzajem serdeczne okazywał mu przywiązanie, w skrytości zaś błagał Boga o zbawienie tej duszy..., ale nigdy nie wszczynał sprzeczki religijnej, aby zamiast nawrócenia więcej go nie zrazić. Milcząc zawsze o tem, co mu najwięcej na sercu ciężyło, czekał spokojnej chwili, w którejby mógł skutecznie przemówić. Długo czekał, modlił się biedny kapłan, i nareszcie taka mu się okoliczność zdarzyła:

Pewnego dnia, gdy obaj razem na kanapie siedzieli, stryj z czułością ściskał synowca, a potem nagle zalał się łzami...

— Co ci jest, kochany stryju? — zapytał młody kapłan.

— Co mi jest!... Gniewam się na twego ojca.

— A za co?

— Za to, że ci pozwolił księdzem zostać... biedna ofiaro! Sutanna twoja śmiertelnym kirem mi się wydaje!... Czyż to cię nie pozbawia wszystkich przyjemności życia? Czyliż cię nie skazuje na sieroctwo i osamotnienie..., a to jeszcze bez pociechy prawdziwej wiary!... Bo czyż podobna, żebyś ty z twoim rozumem wierzył w prawdziwą obecność Boga w Sakramencie ołtarza?... Bóg w kawałku chleba!... Któż to widział!... Bóg jest w niebie, na tronie chwały swojej...

Takie bluźnierstwo, tembardziej, że sprzeczne z charakterem starego wojaka, zgrozą przejęło biednego kapłana... Z sercem, płonącem żywą wiarą i miłością, chlubiąc się

z liberyi Chrystusowej, chciał z oburzeniem zgromić niedowiarka; ale pomnąc, że przyczyną tego obłędu było zbyteczne ku niemu przywiązanie i gruba niewiadomość w rzeczach wiary, wstrzymuje się, rozrzewnia, szuka sposobu przekonania i oświecenia go.

— Kochany stryju — rzecze do niego — wszakżeś był z Napoleonem na wojennej wyprawie w Rosyi?

— Na co to pytanie?...

— Odpowiedz mi, proszę...

— Pewno, żem był.

— Nieprawdaż, że pułk konnych grenadyerów, do któregoś należał, był prześliczny?

— Niezawodnie, przepyszny był! Nasze umundurowanie wyrównywało naszej sławie i trzeba było czemś się odznaczyć, żeby być prostym żołnierzem w naszym pułku. Cesarz na przeglądzie wojska tak był z nas kontent, że zdjął kapelusz na uczczenie męstwa i waleczności naszej.

— Ale na wojnie nie tak dobrze się powodziło?...

— Ach! i bardzo niedobrze!

— Wracając do kraju, wieleście nędzy ucierpieli?

— Nikt tego opisać nie zdoła, byliśmy podobni do żebraków, łachmanami okrytych...

— Jednak mówią, żeście i w tym stanie wołali: »Niech żyje Francya!« »Niech żyje cesarz!«

— Tak! miłość ojczyzny nie wygasła na chwilę w sercach naszych.

— A kiedyż ta miłość największą była?

— Wśród cierpienia i niedostatków: miłość mierzy się ofiarą.

— O! piękne i głębokie słowo! Pozwól mi, kochany stryju, zastosować je do Przenajświętszego Sakramentu. Czemże jest Najświętsza Eucharystya?... To miłość Boża w swym ostatecznym objawie. Aby nas nie zostawić sierotami, Chrystus Pan ukrył się pod postacią chleba; — *Non relinquam vos orphanos**). Możemyż się gorszyć tem poniżeniem? — Pewno, że nie! Przeciwnie, to ostateczne wyniszczenie dobitnie wyraża nieskończoną ofiarę miłości Bożej. Gdyby nie było ostatecznego wyniszczenia, nie wie-

---

*) Nie zostawię was sierotami.

rzyłbym temu. Co mnie pociąga i najwyższą wiarę w ten Sakrament wzbudza, to właśnie to, że Pan Jezus, chociaż jest Bogiem, nie może więcej dla nas uczynić: *Usque in finem dilexit eos.* Umiłował nas do końca.

Przyjąwszy naturę ludzką, przez 33 lata tylko przebywał z nami i to w jednym zakątku ziemi — w Judei... tu w Sakramencie, ukrywając się w Hostyi, staje się towarzyszem wygnania naszego po wszystkie czasy, aż do skończenia wieków!...

Na te słowa promień światła zajaśniał w sercu pułkownika... Nagle przerwał rozmowę, wstał i chodził zamyślony po alejach swego ogrodu. Bratanek jego wieczorem wyjechał, nie wiedząc, jakie wrażenie słowa jego w duszy starca sprawiły. We dwa tygodnie później otrzymuje list od ciotki, w którym go prosi, żeby przyjechał do Mantelonu, bo mąż jej, jak mówi, zmienił się do niepoznania: smutny, milczący, nie śpi, nie je, szuka samotności, wszystko go drażni aż do gniewu, do uniesienia!...

Ksiądz przyjeżdża. Stryj przyjmuje go zimno, — obojętnie... O godzinie obiadowej siadają do stołu... głuche milczenie...

— Czy nie pójdziemy dziś na spacer? — pyta nareszcie.

— Każdy będzie robił, co mu się podoba...

Po tej niezbyt uprzejmej odpowiedzi młody kapłan niespokojny udaje się do poblizkiego lasu, napróżno szukając rozwiązania zagadki, która mu boleśnie serce ściskała. Tak upływa kilka godzin... Nareszcie proszą go do stryja; prowadzą do jego gabinetu... Znowu nieśmiały i milczący, czeka, aż go zapytają...

— I cóż — rzecze pułkownik — zostawiasz mnie samego?... nic mi nie ofiarujesz?

— Cóż ci mam ofiarować? kochany stryju — odpowie kapłan, widząc w oku starca jakby ogień świętego zapału.

— Ach! żebym był świętym — dodał wzruszony — nie potrzebowałbym ci ofiarować mojej kapłańskiej usługi, sambyś mnie o to prosił...

— Otóż cię proszę, wyspowiadaj mnie; ale pierwej otwórz moje biurko, wystrzel dwa pistolety nabite, nie

mogę już wytrzymać chorobliwej i szatańskiej pokusy: zabić się raczej, niżeli na spowiedź odważyć...

Pistolety rychło były wypróżnione, i stryj z pokorą upadł do stóp bratanka swego, a spowiadał się z taką skruchą, że słysząc spowiednika — dla zachęty — przypisującego błędy jego złym wpływom panujących wówczas bezbożności i niebezpieczeństwom wojskowego zawodu...

— Nie trzeba mnie tłómaczyć! — odrzekł z pokorą... — Wielu z moich dawnych towarzyszów, jak i generał Dronot, dobrze służyli Bogu i ojczyźnie, jam nędzny grzesznik, inaczej żyjąc, bardzom zawinił przed Bogiem.

Słowem, łaska Boska przeistoczyła go zupełnie. Pełen wiary i miłości przyjął potem Komunię świętą i poznał z doświadczenia, że Przenajświętszy Sakrament ołtarza jest cudem miłości Bożej, siłą i szczęściem człowieka na ziemi. Często się zasilając tym Chlebem Anielskim, wytrwał do śmierci w służbie Chrystusowej, w wypełnianiu obowiązków religii, a w ostatniej godzinie w tym Najświętszym Sakramencie znalazł źródło niebiańskiej pociechy i zadatek chwały nieśmiertelnej.

MYŚLI POŻYTECZNE.

Lichy pokarm, co nie tuczy — licha książka, co nie uczy.

Księgi są najlepszymi doradcami, bo mówią prawdę bez obawy i gniewu.

Godnym wolności jest ten, kto ceni wolność drugich; sam jest niewolnikiem, kto dla innych kajdany kuje.

Wolności często ci najmocniej się domagają, którzy ją potem drugim chcą odbierać.

Tylko ten człowiek dojrzały jest do wolności i jest jej godzien, kto umie być posłusznym.

Kto wolności nadużywa, temu ją odbiorą.

Wolnym jest, kto spełnia rozkazy starszych ochoczo

i dobrze; a kto je spełnia niechętnie i z szemraniem, ten jest jak niewolnik, który robi co każą, bo się boi kary.

Praca zawsze popłaca i pilność nie traci;
Dwakroć leniwy robi, dwakroć skąpy płaci.

Do pracy mężnym weźmy się krokiem
Czy będzie słota, czy spieka;
Bo tak odwiecznym nieba wyrokiem
Na nią skazano człowieka.

Nabożeństwo bez pracy i praca bez nabożeństwa nie wiele warte.

SKARB I ŻONA.

Było to jeszcze w owych czasach, gdy się pańszczyzna odrabiała. Orze sobie w polu gospodarz Szymek i pośpiewuje, aż tu naraz lemiesz zadraśnie o coś twardego. Myślał, że to kamień, i bierze łódkę, by go dobyć, żeby już mu nie zawadzał, a tu przy odgrzebywaniu widzi kocioł a w nim pod pokrywą pełno pieniędzy.

— Dobra nasza, — myśli sobie — ale mam żonę gadatliwą, trzeba mi się do nich zabrać ostrożnie.

Trzeba wiedzieć, że skarb znaleziony należał się temu, na którego gruncie się znajdował. Że zaś za czasów pańszczyzny grunta nie były uwłaszczone i wszystkie do panów, jako dziedziców, należały, więc też i pieniądze, które Szymek odgrzebał, nie jego, ale pana były własnością.

Wiedział Szymek o tem dobrze, ale pomyślał sobie:

— Toć nie pan, ale ja znalazłem, a też i tak dosyć ich jest u pana. Jeźli jeszcze ich więcej mieć chce, niech też orze a może znajdzie, mnie się one przydadzą. Mniejsza zatem o niego, ale jakże będzie ze żoną, jak wygdacze, żem je znalazł? — Nad tem przemyśliwał.

Przyszła mu myśl do głowy, że trzeba i żonę do tego wziąć i razem z nią skarb odkopać i zabrać do domu, gdyż ona i tak by się o tem dowiedziała.

Wziął się tedy na sposób.

Jakim sposobem, nie wiem, ale złapał zająca. Tego w rzece, co mimo jego pola płynęła, zahaczył na wędkę niby rybę. Potem nachwytał ryb i pozadzierzgiwał na sidła, niby ptaki i zawiesił na drzewo. Dopiero teraz powiedział żonie o skarbie i gdy już się ściemniać zaczęło, wziął taczkę i żonę, żeby mu to niby pomogła wieźć i poszedł. Przyszedłszy ku rzece, rzekł do niej:

— Zatrzymaj się trochę, bom tu zastawił wędkę, może się jaka ryba złapała.

I wlazł w rzekę, a potem zawołał zdziwiony: — Patrz jeno, kochanko, oto zając się złapał.

Żona zdziwiła się temu także, bo myślała, że to prawda.

Szedł potem ku drzewu, mówiąc do niej:

— Nastawiłem tu sidła, pójdź zobaczyć, czy się jaki ptak nie chwycił na nie.

Wlazł na drzewo i zdejmując ryby ze sideł, wołał do żony:

— Cuda same się dziś dzieją: W rzece złapał się zając na wędkę, tu zaś na sidła ryby, cuda, same cuda. I pokazał zdumiałej babie, której nieomal oczy z głowy wylazły od podziwu.

Teraz dopiero odkopał skarb, dobył i włożył na taczkę, którą on z tyłu popychał, a ona ciągnęła za uwiązany powróz z przodu.

W domu kocioł zakopał w ziemię, ale już tak, że ona o nim nie wiedziała, a potem rzekł do niej:

— Słuchaj, kochanko! Wyczytałem w kalendarzu, że jutro będzie potop na świecie; to będzie bardzo źle, bo wszyscy co się nie schronią w pewne miejsce, utopią się.

— O, dla Boga! — wrzeszczy baba — a gdzież my się podziejemy, żebyśmy się nie utopili!

— Ja — powiada Szymek — wlezę na grzędę, to mnie tam woda nie dosięgnie, ale ty tam leźć nie możesz, bo byś spadła i zabiła się, a co bym ja tu począł bez ciebie? Ale wiesz co? Wleź ty do pieca chlebowego, a ja piec zatkam deską, to tam woda nie wlezie.

Jak radził, tak zrobił. Babę zatkał w piecu, a on cały dzień następny nosił wodę i lał do izby przez dziurę w powale, umyślnie na to zrobioną.

Na drugi dzień babę z pieca wypuścił, nieprzymierzając, jak Noe gołębicę, ale nie na to, aby obaczyć, czy ziemia

obeschła, jeno żeby wodę z izby wynosiła, której tam dostatkiem nalał.

— Patrz, moja kochanko — rzecze do niej — co to się tu robiło wczoraj, jaka to wielka ulewa była, kiedy tyle wody do izby się nawaliło; ale to nic, kiedyś jeno ty zdrowa. Trzebaby tę wodę wynieść, bośmy przecie nie kaczki, byśmy w niej brodzili.

I baba wynosiła dzień cały, a on się śmiał na boku. Za parę dni odezwała się do niego:

— Kiedy tyle pieniędzy mamy, to mi też kup nową kieckę i fartuch, a potem jeszcze jedną chustkę wielką, a choć dwie małe; trzebaby mi też nowych trzewików, pończoch także, a nawet na koszulkę i spódniczkę mi kup. Potem też jeszcze nowy czepiec z koronkami, a przydałyby się i korale, tak samo i jedwabne wstążki. To tymczasem dość tego będzie, a jak w jarmark, to mi kupisz więcej.

Szymek wiedział, że z tem kupowaniem nie byłoby prędzej końca, ażby w kotle dno ujrzał próżne, więc postanowił zaraz na początku odmówić wszystkiego. I tak też zrobił.

— Co! — krzyknie rozczerwieniona baba — to mi nie kupisz? Poczekaj, zaraz idę do pana i powiem mu, żeś kocieł z pieniędzmi wykopał i wziął.

Co obiecała, to zrobiła.

Pan posłał po chłopa natychmiast, a gdy ten stanął przed nim, tak się odezwał do niego:

— Doniesiono mi, żeś kocieł z pieniędzmi wyorał i wziął do siebie. Wiesz przecie, że te pieniądze mnie się należą. Przynoś je natychmiast, bo jak nie, to srodze cię ukarzę, bo i tak już na karę zasłużyłeś, żeś ich zaraz nie oddał.

Lecz chłopu ani się śniło, by pieniądze dać panu. Odpowiedział tedy:

— To nie prawda, wielmożny panie, ja o tem pierwszy raz słyszę. A kto też na mnie takie plotki zmyślił?

— Łajdaku! — krzyknie pan. — To ty się będziesz wypierał i plotkami to nazywał! Skoro chcesz wiedzieć, kto mi o tem doniósł, to ci powiem, że własna twoja żona.

— Proszę jaśnie pana mi wybaczyć, że tu prawdę muszę powiedzieć, bo tak moja żona, Boże zachowaj każ-

dego grzesznego człowieka od tego, jest czasem jakaś, jakby jej się w głowie przewróciło, i wtedy to plecie niestworzone rzeczy. A co ja to mam za niewolę i biedę z nią, bo jak ją ta głupota weźmie, to wszystko chce tłuc, a jak jej bronię, to ucieka gdzieś, a krzyczy, że się pójdzie utopić.

— Co! Ty łotrze, ty obwiesiu, ty gałganie, to mnie ty będziesz głupią nazywał, to mnie się w głowie przewróciło! A kiedym ja to uciekała, kiedym się chciała topić? A pieniędzy toś nie wykopał, toś ich nie wiózł na taczkach do domu? Nie pamiętasz, że nim je wykopałeś, toś wyciągnął zająca z rzeki, co się na wędkę złapał, a potem jeszcze wlazłeś na drzewo po ryby, co się złapały na sidła? Nie wiesz już o tem? To się jeszcze będziesz zapierał?

Tak wrzeszczała baba, która w pobocznym pokoju była umyślnie na to zostawiona, aby, jeżeli się chłop będzie zapierał, mogła mu to w oczy powiedzieć.

Pan wytrzeszczył oczy, jak kluski, i patrzył na babę, co to plecie, a chcąc prawdy dojść, pytał jej się:

— Powiedzcieno mi kobieto, kiedy to było i jak temu dawno?

— Ja wiem, jaśnie panie, kiedy to było; akurat dzień przed potopem świata.

— Teraz ci wierzę, mój Szymku, że masz biedę nie małą z tą głupią babą, bom się sam o tem przekonał i z taką nie chciałbym ani godziny żyć — powiedział do chłopa, a następnie otworzył drzwi i babę wygnał, a Szymkowi, jako niewinnemu, też pozwolił iść do domu.

Szymek teraz używał pieniędzy z wszelką swobodą, bo choć żona o tem jeszcze plotła, to jej nikt nie wierzył, gdyż ta rzecz rozniosła się ze dworu po całej wsi.

Głos dzwonów.

Legenda.

Temu lat przeszło sto żyła w Pradze biedna wdowa. Pracowitą była i oszczędną, ale dzieci spotrzebowywały co do grosza wszystko, co matka zarobiła. A dzieci miała dużo. Każdemu, kto zna Pragę, wiadomo, jak wielka jest ilość dzwonów na wieży kościoła loretańskiego na Hradczynie.

Tyleż dzieci posiadała biedna wdowa, i dlatego swoją dziatwę nazywać była zwykła »dzwoneczkami Matki Boskiej loretańskiej«.

W onym czasie dzwonki na wieży nie wygrywały jeszcze melodyi, jak obecnie. Największe z nich uderzały co godzinę, średnie co pół godziny, najmniejsze co kwadrans. Tak samo i dzwoneczki w domu: największe z pomiędzy nich były nieco cierpliwsze i dawały się słyszeć co godzinę, ale najmniejsze śpiewały nader często.

Cały majątek biednej wdowy składał się z naszyjnika, u którego uczepione były srebrne monety; tyle było monet, ile było dzieci. Monety te były pamiątkami od chrzestnych matek i różnej wielkości podług wieku dzieci, począwszy od talara dla najstarszego, aż do małego srebrnika dla najmłodszego.

I stało się, iż wybuchła zaraźliwa choroba w Pradze. Pomór grasował szczególniej między ubogimi.

Nareszcie i do familii wdowy dotarła zaraza. Najstarszy chłopiec zaniemógł ciężko a matka rozpaczała, kochała bowiem swe dzwoneczki nadewszystko, nie bacząc na to, iż z każdem dziecięciem, które Pan Bóg do siebie powoła, ulży ciężaru matce. Na lekarza nie stać ją było, a zresztą wiedziała, iż lekarze zbyt wiele mają zajęcia, aby i dla niej ubogiej chwilę czasu poświęcić i odwiedzić jej poddasze. Kilka godzin upłynęło, a dziecię już poczęło dogorywać. Wtem biedna matka odszukała naszyjnik, odpięła największy talarek i udała się do kościoła loretańskiego. Niebawem zabrzmiał największy dzwon. Najstarszy synek umarł, i dusza jego przy dźwiękach dzwonu wzleciała ku Ojcu, który jest w niebiesiech.

W owych dniach po ulicach Pragi od rana do wieczora jeździły wozy i zbierały trupy z każdego niemal domu. Gdy wóz był napełniony, jechali z nim za rzekę na cmentarz. Nazajutrz po śmierci najstarszego dziecka za jednym z wozów chwiejnym krokiem szła matka, aby przynajmniej znać miejsce wspólnego grobu, do którego jej syn złożony będzie między tylu innymi, których nie znała.

Gdy powróciła do domu, znalazła drugie swe dziecię, piękną dziewczynkę, w malignie, czerwoną jak różyczkę. Kilka minut zabawiła w domu, aby chorej pragnienie za-

gasić, a potem udała się z następnym talarkiem od naszyjnika do kościoła loretańskiego. I po chwili zabrzmiał drugi dzwon poważnie.

I tak potem szedł cios za ciosem. Każdego dnia największą z rzędu monetę odpinała od naszyjnika, i za każdym razem następujący dzwon dzwonił w kościele Matki Boskiej w Loretto; z każdym dniem coraz mniejszy talarek, coraz mniejszy dzwonek.

Udręczenie serca odebrało matce uczucie. Oniemiała szła za wozem, i bez słowa na ustach i bez łzy w oczach wracała do domu, aby stanąć przy łożu śmiertelnem następującego dziecięcia. Nareszcie zostało już tylko najmłodsze, malutki chłopczyna, który jeszcze chodzić nie umiał. Ponieważ i teraz choroba rozpoczynała się od gorączki i czerwoności policzków, zabrała swego jedynaczka na rękę i ostatni grosz z naszyjnika ze sobą i po raz ostatni udała się do kościoła loretańskiego. A gdy najmniejszy dzwonek dzwonić począł, biedna matka czuła, jak z jej piersi serce się wydarło.

Zakonnice pochowały dzieciątko pięknie, a matka wróciła do pustej izdebki. Teraz dopiero spostrzegła, że i ona jest chora. Więc legła na łożu, gdzie i jej dziatki przedtem leżały.

Tam leżała bez pomocy, nie było komu podać jej szklanki wody. Straszna gorączka trawiła jej wnętrze, ale ręce i nogi były zimne i sztywne. Zimno i odrętwienie ogarniało stopniowo ciało, które coraz więcej chmurniało.

— Moje kochane dziatki — jęknęła z cicha — Bogu dzięki składam, że mi pozwolił was przeżyć i pielęgnować do zgonu i że byłam w stanie każdej duszyczce, która mnie odlatywała, kazać zadzwonić na pożegnanie! Ale dla mnie w chwili śmierci niema komu zadzwonić.

Zaledwie słowa te wyrzekła, aż tu wszystkie dzwonki w wieży loretańskiej równocześnie zabrzmiały. Głosy spłynęły w harmonię: dzwony odegrały psalm.

To były własne dzwonki, które na matkę wołały. A ona usłuchała — i poszła.

Od tego dnia datuje się gra dzwonków w kościele loretańskim w Pradze.

Jak się zachowują ludzie po wygraniu wielkiego losu.

Pisarz francuski Aleksander Brisson pozbierał szereg wiadomości, jak zachowali się ci, którzy wygrali większy los. Wszyscy szczęśliwcy, przez niego badani, byli przedtem ludźmi niezamożnymi. Podmajstrzy w pewnej odlewni wygrał los na 100 tysięcy franków. Zapytany, co począł, otrzymawszy o tem wiadomość, odparł: »Wstrząsnęło mnie to ogromnie. Przez cały dzień nic do ust wziąć nie mogłem«. Pewien fryzyer z miasta Bordeaux (czytaj: Bordo) mówi, że odczuł w tej chwili jednocześnie niepokój, przestrach i radość. Bądź co bądź, nie wydała mu się ta chwila tak piękną, jak ją sobie wyobrażał.

Pewien blacharz wygrał ćwierć miliona franków; gdy wracał z roboty, obstąpili go koledzy z wieścią o wygranej. »Bardzo chętnie oblałbym tę dobrą nowinę — odrzekł wybraniec losu, sięgając do kieszeni — ale cóż, kiedy nie mam ani grosza przy duszy». Drobny urzędnik w Bordeaux, który wygrał był pół miliona franków, oświadczył flegmatycznie: »Musiało się na tem skończyć, bo przecież zawsze miałem szczęście do losów«. Czeladnik piekarski w Paryżu, gdy go nazajutrz po wygranej zdziwieni znajomi zastali przy pracy, odrzekł: »Czegoż chcecie? Wczoraj pod pierwszem wrażeniem nie mogłem dalej pracować; dziś muszę to odrobić«.

A teraz pytanie: co robią szczęśliwcy z nagle spadłym na nich majątkiem? Woźnica omnibusu w Paryżu, który wygrał 100.000 franków, nie porzucił bynajmniej swego zajęcia. »Obliczyłem sobie — powiedział — że mi procent od kapitału znacznie mniej przyniesie, niż dotychczasowa pensya i napiwki: jeżdżę więc dalej«.

Są też ludzie, którym niespodziany uśmiech szczęścia trochę w głowie przewraca. Jeden zbudował sobie dom i nad drzwiami wmurował tablicę pamiątkową, która miała potomność pouczać o doniosłym wypadku.

Pewien socyalista przyjmował po wygranej swoich przyjaciół partyjnych, a gdy ci go zachęcali, aby teraz swoje nauki w czyn wprowadzać zaczął i podzielił się z nimi pieniędzmi, odrzekł im po chwili namysłu: »Nie wiem, co mi się stało — ale czuję w tej chwili wyraźnie, że moje poglądy się zmieniły« — i nic im nie dał.

Gorące potrawy.

Niektóre osoby lubią jeść tak gorące potrawy, jak war. Jest to bardzo szkodliwe przyzwyczajenie, którego każdy rozsądny człowiek pozbyć się powinien.

Wskazanem natomiast jest spożywać potrawy ciepłe, szczególnie w naszym klimacie, gdzie mamy trzy ćwierci roku zimy i często chłodne lata. Wewnętrzna ciepłota naszego ciała wynosi 37 stopni i dlatego nie jest przeciwnem naturze, jeżeli bierze się potrawy ciepłe.

Podczas gorącego lata należy raczej spożywać potrawy na zimno. Nerwowe zwłaszcza osoby, które są wrażliwe na każde większe podrażnienie, jedzą np. chętniej zimne mięso aniżeli ciepłe i czują się przytem zdrowemi.

Szkodę wyrządza żołądkowi i kiszkom ten, kto spożywa potrawy zimne jak lód, podobnie jak szkodliwe są potrawy za nadto gorące.

Spożywanie za nadto gorących potraw może spowodować sparzenie przewodu pokarmowego i żołądka, wskutek czego może nastąpić nagła śmierć. Jeżeli pożywienie jest za nadto tylko ciepłe — to zwyczajnem następstwem bywa nadmierne przepełnienie krwią naczyć krwionośnych żołądka. Z czasem powstają z tego różne niedomagania.

Najstraszniejszym skutkiem jest ten, że z czasem powstaje rak żołądkowy, owa straszna choroba, na którą nie mamy prawie dzisiaj lekarstwa. Rak żołądkowy rozwija się mianowicie na tych miejscach ścian żołądkowych, które przez spożywanie za gorących potraw stały się wrażliwemi albo doznały skaleczeń. Także wrzody żołądkowe powstają łatwo wskutek spożywania gorących potraw. Pamiętać zatem należy o następującej radzie zdrowia: Nie jedz gorących potraw, spożywaj je w stanie średnio ciepłym, a jeżeli można, nawet zimne!

Z GOSPODARSTWA.

Uprawa lnu.

W wielu okolicach naszego kraju zarzucają, niestety, uprawę lnu. Gospodynie nie wyrabiają płótna u siebie, lecz kupują na targach lichą bieliznę, która i drogo kosztuje

i nie jest tak trwałą, jak przygotowana ze swego płótna w domu.

Żeby ułatwić gosposiom tym, które zarzuciły uprawę lnu, umiejętny zasiew tej rośliny pożytecznej, tym zaś, które uprawiają, — lepszą uprawę, słów kilka do wiadomości ich podajemy.

Len udaje się na ziemiach mocniejszych i na piaszczysto-gliniastych, najlepiej po roślinach okopowych: ziemniakach burakach, marchwi i t. p. Zasiew rozpocząć można przy odpowiedniej porze już w marcu. Trwać może do maja, lecz zaznaczyć należy, iż siew wcześniejszy jest lepszym, niż późniejszy. Jeżeli nam chodzi o produkcyę ziarna, wtedy siew winien być rzadszym, w przeciwnym razie, gdy chcemy otrzymać możliwie cienkie włókno, zasiew musi być gęściejszym, a wtedy i łodygi są delikatniejsze i włókna cieńsze.

Skoro len podrośnie na 3—4 cale, można go pleć; gospodarze doświadczeni radzą tę czynność wykonywać z wiatrem, aby tenże pomógł przygniecionym roślinkom popodnosić się. Im wyższy len, tem więcej na to zwracać uwagi należy. Wyrywanie lnu trzeba rozpocząć, gdy główki zaczną żółknąć, co zwykle w czasie sprzętu żyta następuje. Dalsze postępowanie z wyrwanym lnem każdej gospodyni jest wiadomem.

Osobne pastwiska.

T r z o d a c h l e w n a, g ę s i a nawet o w c e powinny mieć osobne pastwiska od koni i bydła rogatego. W przeciwnym razie jedno drugiemu zdepcze, zryje i zanieczyści przestrzeń odchodami, a przez wszystko to razem więcej niszczy trawy, aniżeli jej spożytkuje.

Owce po bydle rogatem paść się mogą, ale odwrotnie być nie może, a to dla dwóch powodów. Naprzód, że jak owca tuż przy ziemi trawę przygryzie, to po niej bydło już się nie pożywi, powtóre, że odoru odchodów owczych bydło nie znosi i trawę niemi zwalaną zostawia nietkniętą.

Dla trzody chlewnej przeznaczyć trzeba jakiś zupełnie oddzielny, choćby dla innego inwentarza nieprzydatny, choćby nizko leżący kawałek, gdyż świnie, pasąc się, ryją pastwisko i poprostu je niszczą, jeśli nie mają odrutowanych ryjów.

Bydło nie powinno być rozpuszczane naraz po całem pastwisku, lecz wypasać je ma kawałkami. Na pozostałej przestrzeni trawa będzie pod tę porę podrastać. Działki te spasać się powinny kolejno co kilka dni, a najlepiej co tydzień. Przy małej ilości inwentarza można go wiązać na linkach i tak też robią miejscami za granicą.

Różne rady pożyteczne.

Miód jako środek pożywczy i leczniczy. Wielu uważa miód za artykuł zbytkowy, a jego używanie za łakotkę, jest on jednakże znakomitym środkiem pożywnym, który jak dotąd mało ma uznania. Miód jest głównie dla tego wybornym pokarmem, ponieważ żołądkowi nie przysparza pracy. Będąc przetrawionym przez pszczołę, przechodzi z żołądka ludzkiego bezpośrednio w krew i działa w wysokim stopniu orzeźwiająco jakoteż wzmacniająco. Te znamienite własności posiada jednakże tylko prawdziwy, niesfałszowany miód pszczelny.

Miód jest także znakomitym środkiem leczniczym tak w słabościach organizmu, jakoteż w rozmaitych obrażeniach zewnętrznych. Szczególnie dobroczynnie działa on przy odżywianiu słabowitych i chorowitych dzieci i osób niedokrewnych; oddaje dobre usługi w chorobach gardła, krtani i płuc, niemniej w przypadłościach febrycznych i t. d. Dlatego nie powinno się np. herbaty nigdy używać z cukrem, lecz z miodem. Zapobiega on także gniciu ran, ale rana musi być poprzód należycie oczyszczona, zanim się ją obłoży miodem i obwiąże; w takim razie goi się zwykle bardzo szybko.

Ser z kartofli. Wybrane piękne kartofle gotuje się należycie, tak jednak, aby nie popękały, poczem się odcedza, obiera z łupin i rozciera w donicy na miazgę. Potem dodaje się trochę letniego mleka, soli i kminku i rozrabia powtórnie wałkiem lub ręką, poczem zostawia się w naczyniu do przetrawienia, w lecie 2 do 3 dni, w zimie 3 do 4 dni. Teraz zarabia się masę na nowo rękami, dodając potrosze dobrej śmietany i tworzy się gomółki, które dopiero na drugi dzień stawia się na słońce lub piec do

osuszenia. Od czasu do czasu smaruje się piwem lub śmietaną, aby nie pękały. Tak urządzony ser jest bardzo smaczny, a co główna, tani.

ROZMAITOŚCI.

Skutki braku dozoru nad dziećmi. W Oknie, koło Horodenki, wybuchł na obejściu włościanina Stefana Stratija pożar, który zniszczył doszczętnie chatę. W płomieniach zginęło troje dzieci Stratija. Powodem pożaru było bawienie się dzieci zapałkami.

— W Królewskiej Hucie na pruskim Śląsku pozostawiła pewna wdowa troje małych dzieci w domu i wyszła do sąsiadki. W tym czasie jedno z dzieci zbliżyło się do rozpalonego pieca, od którego zajęło się na niem odzienie. Nagle posłyszano przeraźliwy krzyk, a zanim nadbiegła pomoc, już wszystkie dzieci były strasznie poparzone i wnet potem umarły.

Skutki pijaństwa. Przesuwacz kolejowy w Jarosławiu, Wawrzyniec Jaruchowicz, będąc podpitym, upadł w czasie przesuwania wozów na stacyi na szyny i zginął na miejscu.

Nieszczęśliwe wypadki. W Wulce Kumińskich (w pow. żołkiewskim) wpadł śpiący na piecu półtora roku liczący syn tamtejszego włościanina Iwana Bapa do stojącego na kuchni baniaka napełnionego wrzątkiem i ugotował się na śmierć.

— Straszny wypadek zdarzył się w Dąbkach (koło Horodenki), gdzie w młynie parowym dostał się pod koło rozpędowe, w ruch puszczone, przez własną nieostrożność, Stefan Dzibej, 15 lat liczący. Koło porwało nieszczęśliwego i w jednej chwili potargało go na kawałki, tak, że głowa leżała osobno od kadłuba. Jakkolwiek w chwili wypadku znajdowało się tam kilka osób, wypadek podany nastąpił tak raptownie, że nie było mowy o ratunku.

— Woźnica Fedory Jadryn, służący u p. Jędrzejowicza w Czaplach, powracając z Sambora, zamarzł wraz z jednym koniem; drugi koń ocalał.

— Kapitan 24-go p. p. w Kołomyi, Izydor Jowanowicz, wyszedł z żoną na spacer, pozostawiwszy w domu

pod opieką służącej troje małych dzieci, śpiących już. Podczas ich nieobecności zajęło się w pokoju dziecięcym drzewo, suszące się za piecem, a zanim służąca to spostrzegła i zdołała ugasić ogień, dwoje dzieci od dymu się udusiło, trzecie zaś wezwani lekarze z trudem zdołali do życia przyprowadzić.

— Dwudziestoośmioletni Dymitr Brezdeń, zajęty jako palacz w olejarni Izraela Patrontascha w Żółkwi, pracując przy wydobyciu wkopanej w ziemię prasy, służącej do wytłaczania oleju, został wskutek własnej nieostrożności tak silnie przez podwaliny tej prasy przyciśnięty, iż na miejscu wyzionął ducha.

— W gminie Szczawie, powiatu limanowskiego, wybuchł pożar, który zniszczył doszczętnie całą zagrodę włościanina Augusta Nachmana, wraz z zapasami zboża i narzędziami gospodarskiemi. — Szkoda nieubezpieczona wynosi około 1200 kor. W płomieniach zginęła żona Nachmana Salomea, która, będąc sparaliżowaną, nie mogła ujść z płonącego domu. Przyczyna pożaru nie jest wiadoma.

Fałszywe korony ukazały się w Wiedniu. Całe masy monet koronowych są tak doskonale podrobione, że tylko fachowiec może je odróżnić od prawdziwych. Odlane są one są one z metalu „britania“, z wierzchu są posrebrzane, dźwięczą dobrze i noszą datę 1894 i 1889. Zdradza je zaledwie ciężar, wynoszący nie całe 4 gr. (Prawdziwa korona waży 5 gr.). W ostatnim czasie olbrzymie ilości tych fałszywych koron miano wywieźć na prowincyę.

Najazd chłopów na las. Koło Lublina (w Król. Pol.) okoliczni włościanie w liczbie około 2.000 ludzi, pod wpływem niewyśledzonej agitacyi, najechali w kilkaset furmanek na las kosobudzki, należący do ordynacyi Zamoyskiej i wycięli w pień przestrzeń około 25 morgów, poczem toż ścięte drzewo uwieźli ze sobą.

Okropny los dezertera. W połowie listopada zeszłego roku uciekł żołnierz niejaki Burmech z 37-go pułku piechoty w Krotoszynie (w Poznańskiem). W kilka dni potem schwytali go i oddali przed sąd wojskowy. Rozprawa toczyła się w lazarecie garnizonowym, gdyż oskarżony, postradawszy obie nogi, ciężko chory w łóżku leżąc, zniewolony był wysłuchać wyroku sędziów.

Oskarżony, zaciągnięty do wymienionego pułku, nie mogąc się przyzwyczaić do rygoru wojskowego, postanowił uciec , i plan swój około połowy listopada wykonał. Błąkał się dwa dni bez pożywienia około Krotoszyna. Trzeciej nocy schronił się w stertę łubinu. Nazajutrz rano nie mógł już opuścić swej kryjówki, gdyż odmroził sobie obie nogi. Głód zaspakajał ziarnami, pragnienie wilgocią łodyg łubinu. W takiej nędzy przebywał trzy tygodnie; znaleziono go przy zwózce łubinu w zupełnie wycieńczonym stanie. W lazarecie wojskowym w Poznaniu odjęto mu obie nogi aż po kolana.

Oskarżyciel zażądał za ucieczkę z pod chorągwi 43 dni więzienia. Sąd był zdania, że tu zachodzi jedynie oddalenie się bez pozwolenia i skazał go na tydzień aresztu średniego.

Szczęśliwą gminą nazwać się może gmina Seebergern (w Niemczech), gdyż mieszkańcy jej nie płacą nie tylko żadnych podatków, lecz otrzymują nawet z kasy gminnej gotówkę. Nawet w zeszłym roku, chociaż zbudowano na koszt gminy nowy dom gminny i szkołę, rozdzielono między obywateli 4.000 marek.

Tego może im niejedna gmina, obarczona podatkami, pozazdrościć.

Zamordowanie burmistrza. W Daimiel (prowincya Ciudadreal w Hiszpanii) 6 zamaskowanych mężczyzn wtargnęło do sali posiedzeń Rady miasta i zamordowali burmistrza.

83 tysiące robotników w Anglii straciło pracę, gdyż właściciele angielskich warsztatów okrętowych z „Tyne“ w Londynie rozpoczęli wydalać robotników, czyli urządzili tak zwany lokaut.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.